



ŚMIERĆ
W BRESLAU

MAREK KRAJEWSKI

znak



ŚMIERĆ W BRESLAU

MAREK KRAJEWSKI

Wydawnictwo Znak · Kraków 2010

Projekt okładki
Katarzyna Borkowska
kb-design@o2.pl

Fotografia na pierwszej stronie okładki
Copyright © Bettmann/CORBIS/FotoChannels
Copyright © www.istockphoto.com

Fotografia na czwartej stronie okładki
Wojciech Karliński

Opieka redakcyjna
Karolina Macios

Adiustacja
Agnieszka Stęplewska

Korekta
Kamila Zimnicka-Warchoł

Projekt typograficzny
Daniel Malak

Łamanie
Pro Art Studio Michał Madejski

Copyright © by Marek Krajewski

ISBN 978-83-240-1401-9

Poprzednie wydania ukazały się nakładem
Wydawnictwa Dolnośląskiego.

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl
Wydanie elektroniczne.

Czas wszechwidny, ten odsłoni
Winy twojej brud.
Ślub nieślubny zemsta goni
Płodzących i płód.

Sofokles, *Król Edyp*
(przełożył Kazimierz Morawski)

PROLOG



LIPCOWY UPAŁ był nie do zniesienia. Ordynator szpitala psychiatrycznego Ernst Bennert przesunął dłonią po wielkiej tysej czaszce. Spojrzał na mokrą dłoń uważnie – jak chiromanta. Wzgórek Wenery lepił się od potu, w linii życia lśniły małe jego krople. Dwie muchy kurczowo wpijały się w ślad, który na ceracie zostawiła szklanka słodkiej herbaty. Okno gabinetu zlane było światłem bezlitosnego zachodzącego słońca.

Upał zdawał się nie przeszkadzać drugiemu siedzącemu w gabinecie mężczyźnie z czarną lśniącą czupryną. Z lubością wystawiał na słońce pyzatą, ozdobioną wąsami twarz z kielkującym zarostem. Potarł policzek dłonią, na której wierzchu prężył się wytatuowany skorpion. Mężczyzna spojrzał na Bennerta. Jego przyciemnione od blasku słońca oczy nagle stały się uważne.

– Obaj wiemy, doktorze – rzekł z wyraźnym obcym akcentem – że nie może pan odmówić instytucji, którą reprezentuję.

Bennert wiedział. Spojrzał przez okno i zamiast niegdyś okazałej, dziś – zrujnowanej, kamienicy na rogu zobaczył skutą lodem panoramę Syberii, zamrożone rzeki, zwały śniegu z wystającymi spod niego ludzkimi kończynami. Zobaczył szopę, w której szkielety w podartych mundurach walczyły o dostęp do żelaznego piecyka, gdzie tlił się ogień. Jeden z nich przypominał Bennertowi poprzedniego dyrektora kliniki, doktora Steinbrunna, który pół roku temu nie wyraził zgody na przesłuchanie przez Stasi pewnego pacjenta.

Przetarł oczy, wstał i przechylił się przez parapet – znajomy widok: młoda matka karci nieposłuszne dziecko, warczy ciężarówka wioząca cegły.

– Tak jest, majorze Mahmadow. Osobiście wpuszczę pana na oddział i przesłucha pan tego pacjenta. Nikt pana nie będzie widział.

- O to mi chodzi. Zatem do zobaczenia o północy - Mahmadow strącił z wąsów resztki tytoniu. Wstał i przyglądał się spodnie na udach. Kiedy naciskał klamkę, usłyszał głośny huk. Odwrócił się gwałtownie. Bennert uśmiechał się głupekowato. Trzymał w ręku gazetę „Neues Deutschland” zwiniętą w rulon. Dwie martwe muchy leżały rozpląszczone na ceracie.

DREZNO, TEGOŻ 17 LIPCA 1950 ROKU.

PÓŁNOC

DZIĘKI SWEJ WYOBRAŹNI pacjent Herbert Anwaldt przetrwał w „domu tortur”, jak nazywał drezdeńską klinikę psychiatryczną przy Marien-Allee, już pięć lat. To wyobraźnia była filtrem cudownych transformacji; jej zawdzięczał, że kuksańce i razy pielęgniarzy zamieniały się w łagodną pieśczęotę, smród fekaliów w zapach wiosennego ogrodu, ryki chorych w barokowe kantaty, a odrapane lamperie we freski Giotta. Imaginacja była mu posłuszna: po latach ćwiczeń udało mu się ją poskrozić do tego stopnia, że na przykład wytłumił w sobie całkowicie coś, co nie pozwoliłoby mu przetrwać w zamknięciu: pożądanie kobiecego ciała. Nie musiał jak starotestamentowy mędrzec „tłumić ognia w łonie swoim” - ten płomień już dawno zgasł.

Wyobraźnia zawodziła go jednak, gdy widział biegające po sali małe, ruchliwe owady. Ich brunatno-żółte odwłoki migające w szparach pomiędzy deskami parkietu, ruchliwe czułki wystające zza umywalki, pojedyncze okazy wpełzające na kołdrę: a to ciężarna samica ciągnąca blady kokon, a to dorodny samiec wysoko unoszący swe ciało na owłosionych odnóżach, a to bezradne młode kręcące dookoła cienkimi czułkami - wszystko sprawiało, że jego mózg był wstrząsany elektrycznymi wyładowaniami neuronów. Anwaldt zwiijał się cały boleśnie, w skórę

wwiercały się ruchliwe czułki, a w wyobraźni łaskotały go ty-
siące odnóży. Wpadał wówczas w furię i bywał niebezpieczny
dla innych pacjentów, zwłaszcza od czasu, kiedy zauważył, że
niektórzy z nich łapią owady do pudełek po zapałkach i pod-
rzucają do jego łóżka. Dopiero zapach środków owadobójczych
uspokajał rozedrgane nerwy. Sprawę załatwiłoby przeniesienie
chorego do innego, mniej zakaraluzzonego szpitala w innym
mieście, lecz występowały tu nieprzewidziane, biurokratyczne
przeszkody i kolejni dyrektorzy rezygnowali z tego pomysłu.
Dr Bennert ograniczył się do przeniesienia Anwaltda do poje-
dynczej salki, w której trochę częściej przeprowadzano dezyn-
sekcję. W okresach poprzedzających wyroje karaluchów pacjent
Anwaldt był spokojny i zajmował się głównie studiowaniem ję-
zyków semickich.

Przy tym zajęciu zastał go podczas obchodu pielęgniarz Jür-
gen Kopp. Mimo że dyrektor Bennert nieoczekiwanie zwolnił go
z dzisiejszego dyżuru, Kopp nie miał zamiaru opuszczać szpitala.
Zamknął drzwi od pokoju Anwaltda i udał się na oddział w są-
siednim budynku. Tam usiadł przy stoliku z dwoma kolegami,
Frankem i Voglem i zaczął rozdawać karty. Skat był namiętno-
ścią, której oddawał się cały niższy personel szpitalny. Kopp za-
licytował wino i wyszedł dupkiem żółędnym, aby ściągnąć trom-
fy. Nie zdążył jednak zabrać sztychu, gdy usłyszeli nieludzki ryk
dobiegający przez ciemny dziedziniec.

- Ciekawe, który to drze ryja? - zamyślił się Vogel.

- To Anwaldt. Właśnie przed chwilą zapaliło się u niego
światło - roześmiał się Kopp. - Pewnie znów zobaczył kara-
lucha.

Kopp miał rację, ale tylko częściowo. To rzeczywiście krzyczał
Anwaldt, lecz nie z powodu karalucha: po podłodze jego salki,
śmiesznie podrygując długimi odwłokami, spacerowały cztery
dorodne, czarne pustynne skorpiony.

I



MADAME LE GOEF, Węgierka o pseudofrancuskim nazwisku, wiedziała, jak zabiegać o wrocławskich klientów. Nie wydała ani feniga na prasowy anons czy reklamę, lecz przystąpiła do działań bezpośrednich. Ufając swej niezawodnej intuicji, wynotowała z książki telefonicznej oraz z księgi adresowej miasta Wrocławia około stu nazwisk. Następnie pewna szeroko ustosunkowana, luksusowa prostytutka zweryfikowała listę i okazało się, że najważniejsze są to nazwiska bogatych mężczyzn. Oprócz tego *madame* sporządziła spis wrocławskich lekarzy oraz wykładowców uniwersytetu i politechniki. Wysłała im wszystkim dyskretne liściki w nie wzbudzających podejrzeń kopertach, informujące o powstaniu nowego klubu, w którym najbardziej wymagający panowie mogą spełnić swe pragnienia. Druga fala reklamy rozlewała się po męskich klubach, łaźniach parowych, cukierniach i teatrzykach *variété*. Sowiec nagradzani szatniarze i portierzy, w tajemnicy przed alfonsami, którzy im płacili za stręczenie swych dziewczyn, wsuwali gościom do rąk i kieszeni płaszczy pachnące kartoniki ozdobione rysunkiem apetycznej Wenus w czarnych pończochach i cylindrze.

Mimo świętego oburzenia prasy i dwóch spraw sądowych klub *madame le Goef* stał się sławny. Klientom służyło swymi wdziękami, na różne sposoby, trzydzieści dziewcząt i dwóch młodzieńców.

W salonie nie brakło też występów artystycznych. „Artystki” rekrutowały się z personelu salonu albo – co było częstsze – tutaj dawały gościnne, hojnie opłacane występy, tancerki zatrudnione na stałe w kabarecie „Imperial” lub w jakimś teatrzyku rewiowym. Dwa wieczory w tygodniu utrzymane były w stylu orientalnym (taniec nie tylko brzucha kilku „Egipcjanek”, które

na co dzień występowały w kabarecie), dwa w klasycznym (bachanalia), jeden w rubasznie niemieckim (Heidi w koronkowych majtasach), jeden zaś zarezerwowany był dla specjalnych gości, którzy na ogół wynajmowali cały klub na dyskretne spotkania. W poniedziałki zakład był nieczynny. Niebawem wprowadzono telefoniczną rezerwację, a pruski pałacyk zwany Nadślężańskim Zameczkiem w podwrocławskim Oporowie stał się sławny w całym mieście. Nakłady zwróciły się szybko, tym bardziej że *madame* nie była jedynym inwestorem. Lwią część wydatków poniosło wrocławskie Prezydium Policji. Tej instytucji koszty zwracały się nie tylko materialnie. Wszyscy więc byli zadowoleni, a najbardziej – okazjonalni i stali klienci. Tych ostatnich wciąż przybywało. Bo gdzież by indziej profesor orientalistyki Otto Andreae mógł gonić – uzbrojony w kindżał i w turbanie na głowie – bezbronną hurysę, aby ją posiąść wśród szkarłatnych poduszek, gdzież indziej dyrektor teatru miejskiego Fritz Rheinfelder mógł wystawiać swój tłusty grzbiet na słodkie ciosy butów do konnej jazdy, zadawane przez smukłą amazonkę?

Madame dobrze rozumiała mężczyzn i była szczęśliwa, jeśli mogła zaspokoić ich wymagania. Taką chwilę radości przeżyła niedawno, gdy znalazła dla zastępcy szefa Wydziału Kryminalnego Prezydium Policji, radcy Eberharda Mocka dwie dziewczyny grające w szachy. *Madame* darzyła tego krępego bruneta o gęstych falujących włosach szczególną sympatią. Radca nie zapominał nigdy o kwiatkach dla *madame* i o drobnych upominkach dla dziewcząt, które go chętnie obsługiwały. Był opanowany i milczący, uwielbiał szarady, brydża, szachy i okrągłe blondynki. Swoje namiętności mógł zaspokajać u *madame* le Goef bez żadnych zahamowań. Zjawiał się regularnie w piątki o północy, wchodził bocznymi drzwiami i nie oglądając występów artystycznych, udawał się do swego ulubionego pokoju, gdzie czekały na niego dwie odaliski. Przebierały go w jedwabny szlafrok, karmiły

kawiozem i poiły czerwonym reńskim winem. Mock siedział nieruchomo, jedynie jego ręce krążyły po alabastrowej skórze niewolnic. Po kolacji zasiadał z jedną z nich do szachów. Druga w tym czasie wchodziła pod stół i czyniła coś, o czym miały pojęcie już ludy prehistoryczne. Grająca z Mockiem w szachy była poinstruowana, że każdemu udanemu ruchowi jest przypisana konkretna konfiguracja erotyczna. Toteż po strąceniu pionka lub figury Mock wstawał od stołu i łądował ze swoją partnerką na sofie, gdzie przez kilka minut ową konfigurację realizowali.

Zgodnie z zasadami wyznaczonymi sobie samemu, Mockowi nie wolno było zaspokoić żądz, gdy któraś z przeciwniczek dała mu mata. To mu się już raz zdarzyło – wstał wtedy od stołu, dał dziewczętom po kwiatku i wyszedł, ukrywając gniew i frustrację pod błazeńskim uśmiechem. Potem już nigdy nie pozwalał sobie na brak koncentracji nad szachownicą.

Po jednej takiej długiej partii Mock odpoczywał na sofie, czytając dziewczętom swoje refleksje na temat ludzkich charakterów. Była to jego trzecia pasja, z którą ujawniał się jedynie w swoim ulubionym klubie. Radca kryminalny, miłośnik literatury starożytnej, zaskakujący swoich podwładnych długimi łacińskimi cytatami, pozazdrościł Neposowi i Teofrastowi, konstruując, nie bez literackich pretensji, charakterystyki osób, z którymi się stykał. Za podstawę służyły mu własne obserwacje i policyjne akta. Średnio raz w miesiącu tworzył opis jednego człowieka, a już istniejące uzupełniał nowymi faktami. Owe dopiski i nowo powstające charakterystyki powodowały wielki zamęt w zmęczonych główkach dziewczyn. Nie zważając na to, siedziały u stóp Mocka, patrzyły w jego okrągłe oczy i czuły wzbierającą w kliencie falę szczęścia.

Istotnie, radca kryminalny Mock był szczęśliwy i wychodząc zwykle około trzeciej w nocy, dawał małe prezenty dziewczynom, a sennemu portierowi – napiwek. Szczęście Mocka odczuwał nawet fiakier wiozący go spokojną o tej porze Gräbschener Strasse

do okazałej kamienicy na Rehdigerplatz, gdzie radca zasypiał u boku żony, słuchając tykania zegara i pokrzykiwań furmanów i mleczarzy.

Niestety, w nocy z 12 na 13 maja 1933 roku radca Eberhard Mock nie zaznał szczęścia w ramionach dziewcząt *madame le Goef*. Właśnie rozgrywał interesującą obronę sycylijską, gdy *madame* dyskretnie zapukała do drzwi.

Po chwili zastukała powtórnie. Mock odsapnął, zapiął szlafrok, wstał i otworzył drzwi, jego twarz była bez wyrazu, ale *madame* wiedziała, co czuje ten mężczyzna, kiedy mu ktoś przerywa wyszukany, erotyczno-szachowy kontredans.

- Drogi panie radco - właścicielka klubu darowała sobie bezskuteczne, jak wiedziała, przeprosiny. - Na dole jest pański asystent.

Mock grzecznie podziękował, szybko się ubrał, w czym pomagały mu usłużne gejsze (jedna wiązała krawat, druga zapięła spodnie i koszulę), wyjął z teczki dwie małe bombonierki i pożegnał niepokieszone szachistki. Rzucił „dobranoc” *madame* i zbiegł po schodach, wpadając z impetem na swojego asystenta Maxa Forstnera, opartego o kryształowy klosz stojącej w hallu lampy. Kryształki zabrzęczały ostrzegawczo.

- Baronówna Marietta von der Malten została zgwałcona i zamordowana - wysapał Forstner.

Mock zbiegł po schodach na podjazd, wsiadł do czarnego adlera, trzasnął drzwiami trochę za mocno i zapalił papierosa. Forstner skwapliwie usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Ruszyli w milczeniu. Przejechali przez most na Ślęzie, kiedy w końcu Mock zebrał myśli.

- Jak mnie tu znaleźliście? - zapytał radca, uważnie obserwując przesuwający się po prawej stronie mur Cmentarza Komunalnego. Na tle nieba odcinał się wyraźnie trójkątny dach krematorium.

- Miejsce pobytu pana radcy zasugerował mi pan dyrektor kryminalny, doktor Mühlhaus. - Forstner wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Wszyscy wiedzą, gdzie w piątki bywa Mock”.

- Nie pozwalajcie sobie na takie gesty, Forstner - Mock spojrział na niego uważnie. Jesteście jeszcze wciąż tylko moim asystentem.

Zabrzmiało to groźnie, ale nie zrobiło na Forstnerze najmniejszego wrażenia. Mock nie spuszczał wzroku z jego szerokiej twarzy („*mała, tłusta, ruda kanalia*”) i po raz nie wiadomo który postanowił, wbrew rozsądkowi, zniszczyć bezczelnego podwładnego. Nie było to łatwe, gdyż Forstner został przyjęty do Wydziału Kryminalnego wraz z nastaniem rządów nowego prezydenta policji, fanatycznego nazisty Obergruppenführera SA Edmunda Heinesa. Mock dowiedział się, że jego asystent nie tylko jest protegowanym Heinesa, ale chełpi się dobrymi stosunkami z samym nowym nadprezydentem Śląska, Helmuthem Brücknerem, którego narzucili naziści krótko po wygranych wyborach do Reichstagu. Radca pracował jednak w policji prawie ćwierćwiecze i wiedział, że zniszczyć można każdego. Dopóki miał władzę, dopóki szefem Wydziału Kryminalnego był stary mason i liberał Heinrich Mühlhaus, mógł nie dopuszczać Forstnera do poważnych spraw i oddelegować go na przykład do spisywania prostytutek pod hotelem „Savoy” przy Tauentzienplatz albo do legitymowania homoseksualistów pod pomnikiem cesarzowej Augusty na promenadzie pod Szkołą Sztuk Pięknych. Najbardziej irytował Mocka fakt, że nie zna żadnych słabostek Forstnera - jego akta były czyste, codzienna obserwacja podpowiadała jedno tylko, zwięzłe określenie: „tępy służbista”. Co prawda bliskie stosunki z Heinesem, o którym powszechnie wiadomo, że jest pederastą, podsuwały Mockowi niejasne podejrzenia, ale było to zbyt mało, aby podporządkować sobie tę wtyczkę - agenta gestapo Forstnera.

Dojeżdżali do Sonnenplatz. Miasto tętniło podskórnym życiem. Zazgrzytał na zakręcie tramwaj wiozący robotników drugiej zmiany z fabryki Linkego, Hofmanna i Lauchhammera, mięły gazowe latarnie. Skręcili w prawo, w Gartenstrasse: pod halą targową tłoczyły się furmanki dowożące ziemniaki i kapustę, stróż secesyjnej kamienicy na rogu Theaterstrasse, zło-rzeczając, naprawiał lampę przy bramie, dwóch pijanych burszów zaczęło prostytutki dumnie spacerujące z parasolkami pod Domem Koncertowym. Minęli salon samochodowy Kotschenreuthera i Waldschmidta, budynek śląskiego Landtagu i kilka hoteli. Nocne niebo rozpylało mglisty deszczyk.

Adler zatrzymał się z drugiej strony Dworca Głównego, przy Teichhackerstrasse, naprzeciw łaźni natryskowych. Wysiedli. Ich płaszcze i kapelusze pokryły się wodnym pyłkiem, mżawka osiadała na ciemnej szczecinie Mocka i na gładko ogolonych policzkach Forstnera. Potykając się o szyny, przeszli na boczny tor. Dookoła stali umundurowani policjanci i kolejarze rozmawiający podniesionymi głosami. Właśnie nadchodził z charakterystycznym kuśtykaniem policyjny fotograf Helmut Ehlers.

Do Mocka podszedł stary policjant z lampą naftową, którego wysyłano do najbardziej makabrycznych zbrodni.

- Kriminalwachtmeister Emil Koblichke melduje się - przedstawił się, jak zwykle, choć było to niepotrzebne; radca dobrze znał swych podwładnych. Koblichke osłonił dłońią papierosa i przyjrzał się uważnie Mockowi.

- Gdzie jest pan radca i ja, tam musi być źle - pokazał wzrokiem wagon salonkę, na której przymocowana była tablica „Berlin-Breslau” - tu jest bardzo źle.

Na korytarzu salonki wszyscy trzej ostrożnie przestąpili ciało leżącego kolejarza. Nalana twarz zastygła w maskę bólu. Nie było śladów krwi. Koblichke chwycił zwłoki za kołnierz i posadził, głowa kolejarza przekrzywiła się na bok, a kiedy

policjant odchylił kołnierz munduru, Mock i Forstner schylili się nad plecami.

- Daj, Emil, bliżej tę lampę. Nic nie widać - rzucił Mock.

Koblischke przystawił lampę i przewrócił zwłoki na brzuch. Uwolnił jedną rękę od rękawa munduru i koszuli, po czym szarpnął mocno i obnażył plecy i bark zmarłego. Przysunął naftówkę. Policjanci dostrzegli na karku i łopatce kilka czerwonych plamek z siną opuchlizną. Między łopatkami kolejarza leżały trzy rozpląszczone martwe skorpiony.

- Takie trzy owady potrafią zabić człowieka? - Forstner po raz pierwszy zdradził się z własną ignorancją.

- To nie są owady, Forstner, lecz pajęczaki. - Mock nawet nie tłumił pogardy w głosie. - Poza tym sekcja jeszcze przed nami.

O ile w wypadku kolejarza policjanci mogli mieć jakieś wątpliwości, o tyle przyczyna zgonu dwóch kobiet w salonce była aż nadto oczywista.

Mock łapał się często na tym, że tragiczna wieść wywoływała u niego przewrotne myśli, a wstrząsający widok - rozbawienie. Kiedy zmarła w Wałbrzychu jego matka, pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, to kwestia natury porządkowej: co zrobić ze starym, ogromnym tapczanem, którego nie można było wytaszczyć ani przez okno, ani przez drzwi. Na widok chudych, bladych tydek obłąkanego żebraka katującego szczeniaka koło dawnego Prezydium Policji przy Schuhbrücke 49 ogarnął go głupi śmiech. Teraz także, kiedy Forstner pośliznął się na kałuży krwi pokrywającej podłogę salonki, Mock parsknął śmiechem. Koblischke nie spodziewał się po radcy takiej reakcji. Sam wiele widział w życiu, ale widok w salonce wprawił go po raz drugi w nerwowe drżenie. Forstner wyszedł z pomieszczenia, Mock rozpoczął oględziny.

Siedemnastoletnia Marietta von der Malten leżała na podłodze obnażona od pasa w dół. Gęste, popielate, rozpuszczone

włosy nasiąkły krwią jak gąbka. Twarz wykrzywiona była jakby gwałtownym atakiem paraliżu. Girlandy jelit walały się po bokach rozciętego ciała. Rozdarty żołądek pokazywał nieprzetrawione resztki jedzenia. Mockowi zdawało się, że coś dostrzega w jamie brzusznej. Pokonując wstręt, pochylił się nad ciałem dziewczyny. Fetor był nie do zniesienia. Mock przełknął ślinę. Wśród krwi i śluzu poruszał się mały, ruchliwy skorpion.

Forstner wymiotował gwałtownie w ubikacji. Koblischke podskoczył śmiesznie, bo coś trzasnęło mu pod butem.

- *Scheisse*, jest tu tego więcej - krzyknął.

Rozejrzeli się dokładnie po kątach salonki i zabili jeszcze trzy skorpiony. - Dobrze, że żaden z nich nas nie ukąsił - sapał ciężko Koblischke - bo leżelibyśmy teraz jak ten na korytarzu.

Kiedy upewnili się, że w wagonie nie ma więcej groźnych stworzeń, podeszli do drugiej ofiary, panny Françoise Debroux - guwernantki baronówny. Czterdziestoparoletnia kobieta leżała przerzucona przez oparcie kanapy. Podarte pończochy, żyłaki na łydkach, podwinięta aż po pachy skromna sukienka z białym kołnierzykiem, rzadkie włosy uwolnione od staropanieńskiego koczka. Zagryzała zębami napuchnięty język. Na szyi zaciśnięty był sznur od zasłon. Mock obejrzał ze wstrętem trupa i z ulgą nie zauważył nigdzie skorpiona.

- Najdziwniejsze jest to - Koblischke wskazał na ścianę salonki obitą granatowym materiałem w błękitne paski. Między oknami wagonu widniał napis. Dwie linie dziwnych znaków. Radca kryminalny zbliżył ku nim twarz. Jeszcze raz przełknął ślinę.

- Tak, tak... - Koblischke zrozumiał go w lot. - Ktoś to napił się krwią...

MOCK POWIEDZIAŁ USŁUŻNEMU FORSTNEROWI, że nie życzy sobie być odwieziony do domu. Szedł powoli w rozpiętym płaszczu. Czuł ciężar swoich pięćdziesięciu lat. Po dwóch kwadransach

znalazł się wśród znanych domów. Przystanął w bramie jednej z kamienic na Opitzstrasse i spojrzął na zegarek. Czwarta. Zwykle o tej porze wracał z piątkowych „szachów”. Jednak nigdy owe rozkoszne partyjki nie zmęczyły go tak bardzo jak dzisiejsze przeżycia.

Kładąc się spać obok żony, nadśluchiwał tykania zegara. Przed snem przypomniał sobie pewną scenę z młodości. Jako dwudziestoletni student przebywał w majątku dalekich krewnych pod Trzebnicą i flirtował z żoną zarządcy folwarku. W końcu po wielu nieudanych próbach umówił się z nią na schadzkę. Siedział na brzegu rzeki pod starym dębem, pewny, że dziś wreszcie nasyci się jej ponętym ciałem. Paląc papierosa, przysłuchiwał się kłótni kilku wiejskich dziewczynek bawiących się po drugiej stronie rzeki. Okrutne istoty podniesionymi głosikami odpędzały kulawą dziewczynkę, nazywając ją kuternogą. Dziecko stało nad wodą i patrzyło w stronę Mocka. W wyprostowanej ręce trzymało starą lalkę, pocerowana sukienka falowała na wietrze, glina ubrudziła świeżo wypastowane buciki. Mock uświadomił sobie, że przypomina mu ptaka z przetrąconym skrzydłem. Patrzył na dziewczynkę i nieoczekiwanie się rozpląkał.

Nie mógł stłumić płaczu i teraz. Żona mruknęła coś przez sen. Mock otworzył okno i wystawił na deszcz rozpaloną twarz. Marietta von der Malten też była kulawa i znał ją od dziecka.

WROCŁAW, TEGOŻ 13 MAJA 1933 ROKU.

GODZINA ÓSMA RANO

W SOBOTY MOCK przychodził do Prezydium Policji o dziewiątej rano. Portierzy, gońcy i wywiadowcy znacząco spoglądali po sobie, kiedy lekko uśmiechnięty, niewyspany radca uprzejmie odpowiadał na pozdrowienia, ciągnąc za sobą smugę zapachu drogiej wody kolońskiej od Welzla. Ale w dzisiejszą sobotę

PROLOG 7

I 13

II 55

III 179

EPILOG 245

Książki Marka Krajewskiego w Znak

Erynie
Śmierć w Breslau

Książka, która stworzyła Mocka.

Wrocław, maj 1933 roku.

Wstrząsająca zbrodnia.

Zmasakrowane zwłoki
dwóch kobiet.

Tajemnicze zdanie
napisane krwią ofiar.

I wszędzie skorpiony.

Idealna sprawa dla
Eberharda Mocka.

W mrocznym

i posepnym Wrocławiu,

gdzie w każdym zaułku

złodzieje i mordercy

czekają na ofiarę, rządzi

przemoc i korupcja. Wysoko

postawieni notable oddają się

hazardowi i rozpuście, przekupna

policeja walczy o władzę. W mieście

zarażonym doktryną hitlerowską

pewien komisarz gustuje w dość

nietypowej rozrywce. Grywa w szachy

(według własnych zasad) z pięknymi

roznieglizowanymi pannami. To Mock,

którego z domu rozkoszy może

wyciągnąć tylko kolejna zbrodnia.

Marek Krajewski – pisarz, tłumacz, filolog klasyczny. Jest autorem bestsellerowych powieści kryminalnych, m.in.: *Koniec świata w Breslau*, *Dżuma w Breslau* i *Głowa Minotaura*, oraz najnowszej – *Erynie*. Jego książki ukazały się w dwunastu krajach. Jest laureatem m.in. Nagrody Wielkiego Kalibru, Nagrody Prezydenta Wrocławia, Paszportu „Polityki”.

www.marek-krajewski.pl